

# AMERYKAŃSKIE WIĘZIENIE

SHANE BAUER | Reporter pod przykrywką  
w sercu więziennego biznesu

Przełożył Tomasz S. Gałązka

MARGINESY

*American Prison*

COPYRIGHT © 2018 BY Shane Bauer

First published by Penguin Press an imprint of Penguin Random House LLC.

Translation rights arranged by AJA Anna Jarota Agency  
and The Clegg Agency, Inc., USA.

All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Tomasz S. Gałazka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2022

*Amerykańskim więźniom*

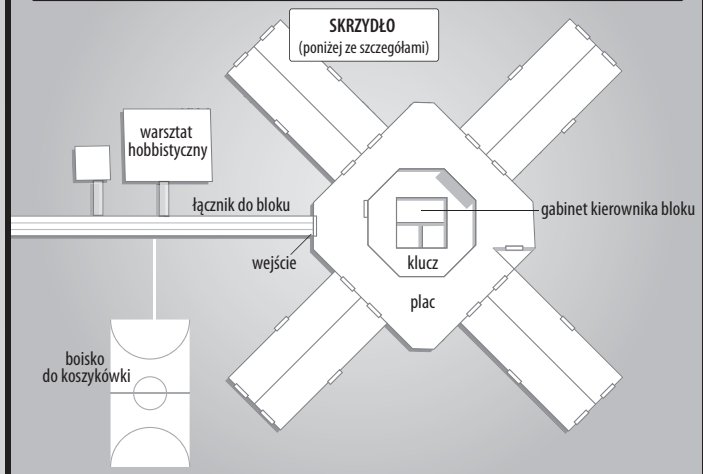
Wszyscy chcemy wierzyć w naszą wewnętrzną siłę, w poczucie osobistego sprawstwa, które umożliwia nam przeciwstawianie się zewnętrznym siłom sytuacyjnym, takim, jakie uruchomione zostały podczas Stanfordzkiego Eksperymentu Więziennego [...]. Dla wielu to przekonanie o osobistej zdolności do przeciwstawiania się potężnym siłom sytuacyjnym i systemowym nie jest jednak niczym więcej niż pokrzepiającą iluzją własnej na nie odporności.

Philip Zimbardo (przeł. Józef Radzicki)

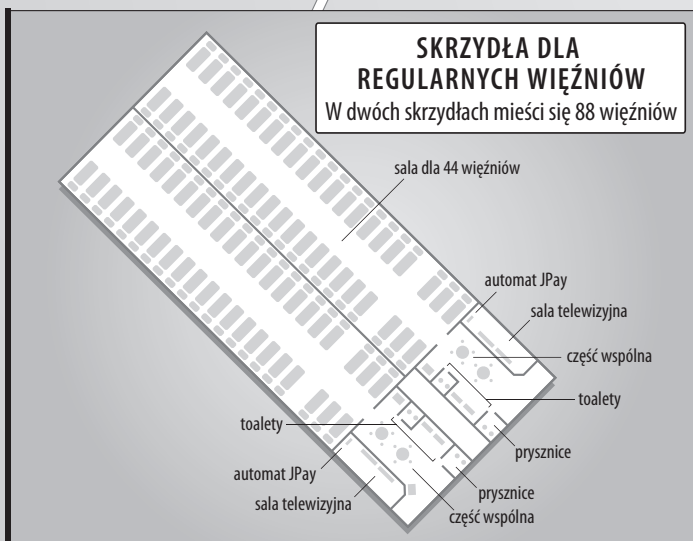
Po prostu to sprzedajesz, tak samo jak sprzedawałbyś samochody, nieruchomości, hamburgery.

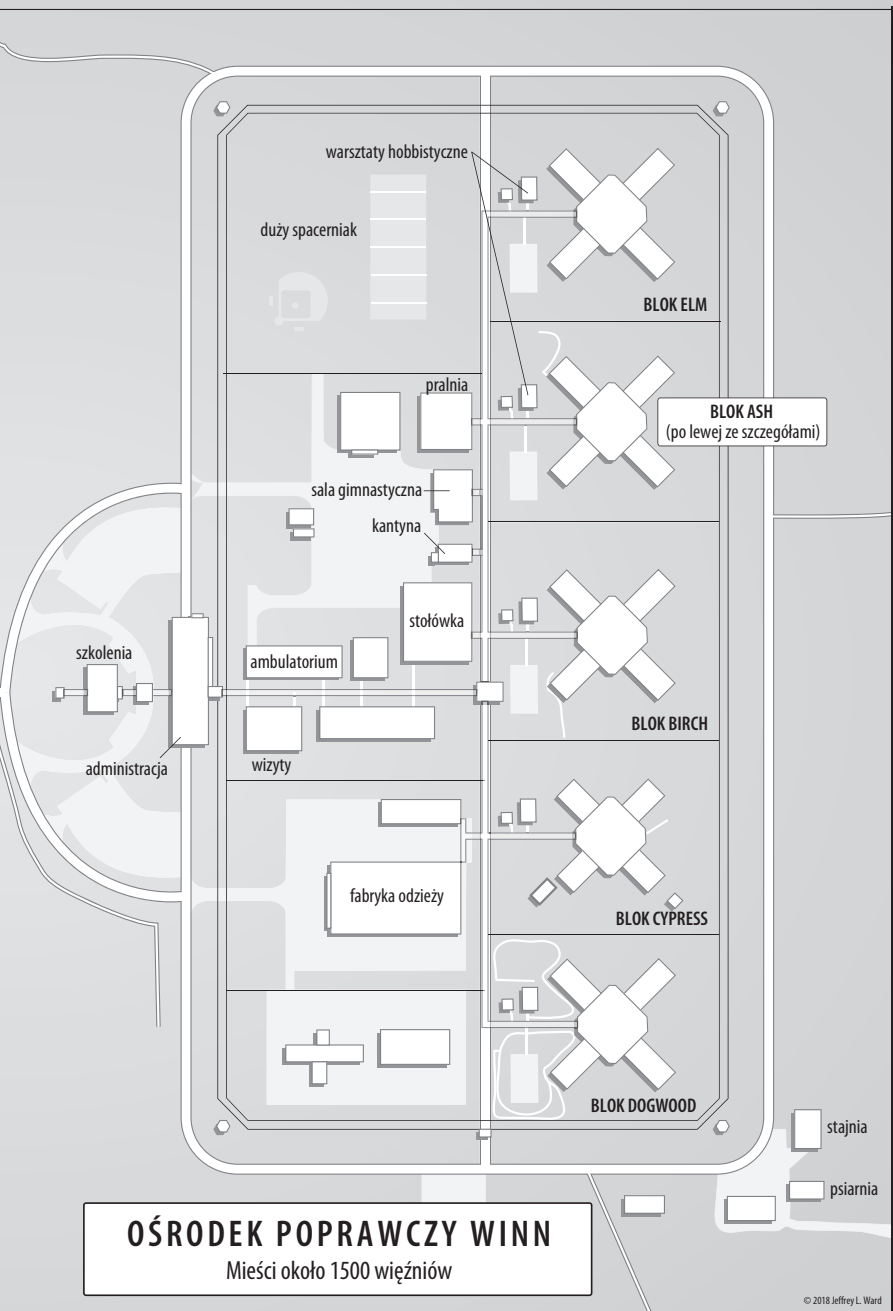
Thomas Beasley, współzałożyciel Corrections Corporation of America

## ROZKŁAD BLOKU ASH, DLA REGULARNYCH WIĘZNIÓW (mieści 352 więźniów w ośmiu skrzydłach)



## SKRZYDŁA DLA REGULARNYCH WIĘZNIÓW W dwóch skrzydłach mieści się 88 więźniów





## Wprowadzenie

*Mieliście tam kiedyś zamieszki?* – pytam pracownika naboru z Corrections Corporation of America [Amerykańska Korporacja Poprawcza, CCA].

*Od ostatniego buntu minęły już dwa lata* – odpowiada mi głos w słuchawce.

*No tak, ale to byli Portorykańczycy!* – wcina się jakaś kobieta. Dotąd się nie odzywała. – *Pozbyliśmy się ich. Teraz trzymamy tylko ludzi z Oklahomy.*

Rekruter czyta mi pytania. *Ludziom zdarza się nie zgadzać w jakichś kwestiach. Kiedy ostatnim razem przytrafiło się to panu? Jak pan rozwiązał tę sytuację? Przełożony chce wysłać pana na prelekcję na nieinteresujący pana temat. Jak pan zareaguje?* Nie wnika w szczegóły danych w moim CV. Nie pyta o moją historię pracy, o bieżące zatrudnienie w Fundacji na rzecz Postępu Krajo-wego, wydającej magazyn „Mother Jones”, ani o to, czemu reporter zajmujący się sprawami karnymi w Kalifornii chciałby przenieść się na drugi koniec kraju, by podjąć pracę w więzieniu. To wszystko jest w moim podaniu: prawdziwe nazwisko, inne dane osobowe, fakt, że jako dziewiętnastolatek byłem aresztowany za kradzież sklepową. Sprawdził mnie w internecie? Szybki gugiel i miałby przed sobą moje reportaże o więziennictwie, artykuły o dwóch latach spędzonych za kratami w Iranie. Rekruter nie

pyta o wiele spośród rzeczy, których ujawnienia w tej rozmowie się obawiałem, więc i ja o nich nie wspominam.

Korci mnie, żeby zapytać o wyniki kwestionariusza, który wypełniłem na stronie internetowej CCA – miał on określić, czy moje skłonności odpowiadają pracy w więziennictwie. Przedstawiono w nim rozliczne scenariusze, a ja miałem wybrać z szeregu opcji to, jak bym w danej sytuacji postąpił. „Osadzony otrzymuje tacę z obiadem i zjada wszystko poza deserem (budyń). Podchodzi wtedy do linii wydawania posiłków i żąda kolejnej tacy, twierdząc że w budynku znalazł włos”. Czy dałbym mu nową tacę, czy wymienił tylko deser, a może w ogóle go zignorował? „Osadzona mówi ci, że uważa, iż nie lubisz jej z powodu jej przynależności rasowej”. Powiem jej, że się myli? Puszczę to mimo uszu? Odpalę, że tak naprawdę to ona jest rasistką?

Była też część, w której przy dziesiątkach stwierdzeń klikalem w przyciski uszeregowane od „zdecydowanie się zgadzam” do „zupełnie się nie zgadzam”.

„Jeśli ktoś cię obraża, to prosię się o cios w nos, albo i gorzej”.  
Nie zgadzam się.

„Jestem bardzo wydajnym pracownikiem”. Zdecydowanie się zgadzam.

„Zawsze popieram decyzje mojego szefa”. Ani się zgadzam, ani nie zgadzam.

„Mam bardzo rygorystyczny kodeks moralny”. Zdecydowanie się zgadzam. „Własnym życiem nie zapłaciłbym za nic”.

Tu też kliknąłem „zdecydowanie się zgadzam”, choć kiedy rozsyłałem podanie do kilku spośród prowadzonych przez CCA w całych Stanach więzień, to z niepokojem, że ta odpowiedź może zmniejszyć moje szanse na zatrudnienie.



Mężczyzna na linii mówi mi, że przejdę czterotygodniowe szkolenie. A potem będą ode mnie wymagać dwunastogodzinnych, a czasem nawet i szesnastogodzinnych dniówek.

*Kiedy mógłby pan zacząć?* – pyta.

Mówię mu, że muszę to sobie przemyśleć.

Biorę głęboki wdech. Naprawdę mam zostać strażnikiem więziennym? Teraz, kiedy rzecz faktycznie może się ziścić, wydaje się wręcz straszna, nieco ekstremalna.

Zacząłem się starać o posadę w prywatnych więzieniach, bo chciałem zobaczyć od środka, jak działa przemysł zajmujący się przetrzymywaniem około 130 tysięcy spośród 1,5 miliona\* osadzonych Amerykanów<sup>1</sup>. Dziennikarz praktycznie nie ma szans na swobodne przyjrzenie się naszemu systemowi penitencjarnemu. Wiele stanów nie pozwala, by reporterzy wybierali sobie osoby do rozmów, decyzję podejmują za nich władze więzienia. Rozmowy telefoniczne są monitorowane, strażnicy otwierają i czytają korespondencję. Osadzonym, którzy rozmawialiby z dziennikarką otwarcie, grożą represje, aż po pobyt w karcerze. Szczególną tajemnicą spowite są więzienia prywatne. Ich dokumentacji nie obejmują przepisy o dostępie do informacji publicznej – CCA wojowała o odrzucenie ustaw, wskutek których prywatne więzienia podlegałyby takim samym zasadom jawności co ich państwowe odpowiedniki. A nawet gdybym zdołał uzyskać od osadzonych w prywatnych więzieniach nieocenzurowane informacje, jak miałbym zweryfikować ich prawdziwość? Wciąż wracam do podstawowego pytania: czy istnieje jakiś inny sposób, by przekonać się, jak rzeczywiście wygląda sytuacja w więzieniu prywatnym?

\* Liczba ta obejmuje zamkniętych w federalnych i stanowych zakładach karnych. Nie uwzględnia więzień lokalnych, w których liczba osadzonych oscyluje wokół siedmiuset tysięcy.

Teraz jednak, kiedy plany stają się rzeczywistością, nasuwa się równie istotne pytanie: serio, mam wrócić do więzienia? Minęły zaledwie trzy lata, odkąd wyszedłem na wolność. W roku 2009 pracowałem jako dziennikarz freelancer na Bliskim Wschodzie, mieszkalem w Damaszku z moją partnerką Sarah Shourd. Gdy odwiedził nas wspólny przyjaciel, Josh Fattal, wybraliśmy się na wycieczkę do irackiego Kurdystanu, gdzie rozwijał się wówczas przemysł turystyczny, a sam rejon uważany był za bezpieczny dla gości z Zachodu<sup>2</sup>. Podczas długiej wyprawy wokół jednej z lokalnych atrakcji turystycznych nieopatrznie zbłądziliśmy w pobliże granicy irańskiej. Całą naszą trójkę aresztowano i przewieziono przez pół Iranu do więzienia Ewin. Spędziliśmy całe miesiące w karcerze, poddawani przesłuchaniom. Po czterech miesiącach Josh i ja trafiliśmy do wspólnej celi, ale Sarah spędziła w izolatce ponad rok, aż do zwolnienia w 2010. Josha i mnie wypuszczono po dwudziestu sześciu miesiącach za kratami.

Gdy wieczorem w dniu oswobodzenia pławiłem się w ciepłych, fosforyzujących wodach Zatoki Omańskiej, nie wyobrażałem sobie nawet, że w ogóle spojrzę jeszcze kiedykolwiek na więzienie. Powrót do domu mącił mi w głowie. W więzieniu przyzwyczałem się do doświadczania w danym momencie jednego, góra dwóch bodźców: lektura książki, kroki zbliżające się korytarzem, odgłosy wydawane przez Josha pod przeciwległą ścianą celi. Na wolności świat jest nieskończenie złożony i przez pewien czas wszystko to waliło się na mnie kaskadą. Miałem problemy z odfiltrowywaniem rzeczy ważnych od nieustającego szumu życia codziennego. Musiałem też odbudować zdolność umysłu do dokonywania wyborów. Po tym jak przez dwa lata marzyłem o jedzeniu, łapałem się na gapieniu się na menu, niemożności zdecydowania, co chcę zjeść, polegałem więc na wyborach innych ludzi. Wiecznie byłem spięty, ledwo zdolny utrzymać nerwy na wodzy.

Zdarzało się, że musiałem nagle wyjść z zatłoczonego miejsca. Kiedy indziej nie radziłem sobie z przygniatającymi uczuciami, gdy zostawałem w pokoju sam. Niemal co noc nawiedzały mnie koszmarne sny o ponownym uwięzieniu. Zorientowałem się, że przesadnie reaguję na obecność osób posiadających choćby najmniejszą władzę, jakby były strażnikami więziennymi. Wszystko mnie wściekało.

Amerykańskie więzienia pomogły mi się ustabilizować. Już w pierwszych dniach na wolności dowiedziałem się o strajku głodowym rozprzestrzeniającym się w zakładach karnych Kalifornii, stanu, w którym mieszkam. Więźniowie protestowali przeciwko karaniu ich długoterminowymi pobytami w izolatkach: niemal cztery tysiące osadzonych trafiło do „karca” bez określenia terminu wypuszczenia ich stamtąd<sup>3</sup>. W Stanach Zjednoczonych taką karę odbywa około 80 tysięcy więźniów, więcej niż w którymkolwiek innym kraju. Tylko w kalifornijskim więzieniu stanowym Pelican Bay ponad pięciuset osadzonych spędziło w karcerze co najmniej dziesięć lat. Osiemdziesięciu dziewięciu przesiedziało tam co najmniej dwadzieścia lat. Jeden tkwi w pojedynczej celi od czterdziestu dwóch lat.

Kiedy układałem sobie w głowie własne przeżycia z dwuletniego uwięzienia, borykając się z ponownym przystosowaniem do życia i zespołem stresu pourazowego, zacząłem korespondować z niektórymi osadzonymi w karcerach tu, w Stanach Zjednoczonych. Przekonałem się, że część z nich czuwała nad zachowaniem ostrości umysłu, inni jednak już się złamali, ich listy były niezrozumiałe. Zacząłem czytać dokumentację ich osadzenia i przekonałem się, że nie wszyscy z wieloletnich więźniów karcerów popełnili podczas odsiadki jakieś gwałtowne przestępstwa. Owszem, niektórzy byli niebezpiecznymi członkami gangów, ale inni trafili do karca za to, że obracali się w niewłaściwym towarzystwie,

pomagali współwięźniom jako prawnicy amatorzy czy posiadali książki o historii Afroamerykanów. Siedem miesięcy po tym, jak wyszedłem na wolność, odwiedziłem zakład karny Pelican Bay, jeden z pierwszych zbudowanych z myślą o długoterminowym przetrzymywaniu więźniów w odosobnieniu. Widziałem tam ludzi zamkniętych w celach o wymiarach trzy trzydzieści na dwa dziesięć, bez okien. Jednemu z nich przez dwanaście lat nie dane było zobaczyć drzewa. Cztery miesiące spędzone w irańskim karcerze to wieczność, której nigdy nie zdołam wymazać z mojej psyche, ale otchłań izolacji, w której tkwili ci więźniowie, pomogła mi spojrzeć na własne kłopoty z innej perspektywy.

Wciąż zamierzałem wrócić na Bliski Wschód. Mówię po arabsku, a Arabska Wiosna przeobrażała się właśnie w wojnę. Nadal jednak nie potrafiłem odwrócić się od amerykańskiego systemu penitencjarnego, wręcz przeciwnie. Żyjemy w czasach masowego wymierzania kar więzienia na skalę rzadko spotykaną w dziejach ludzkości. Stany Zjednoczone więżą większy odsetek swoich obywateli niż jakikolwiek inny kraj na świecie<sup>4</sup>. W roku 2017 w więzieniach federalnych, stanowych i lokalnych mieliśmy 2,2 miliona osadzonych, co oznaczało wzrost o 500 procent w ciągu ostatnich czterdziestu lat<sup>5</sup>. Obecnie ludność USA stanowi niespełna pięć procent populacji globalnej, ale wśród uwięzionych na świecie niemal co czwarty siedzi w Stanach<sup>6</sup>. Kiedy za sto lat spojrzemy wstecz, jestem pewien, że to właśnie nasz system więziennictwa będzie jednym z głównych aspektów definiujących nasze czasy.

Niniejsza książka skupia się na jednym prywatnym więzieniu, w okresie czterech miesięcy. Bada też, w jaki sposób motywy zarobkowe kształtowały system penitencjarny Ameryki przez ostatnich dwieście pięćdziesiąt lat. Więzienia prywatne nie napędzają obecnej fali masowego osadzania, tylko czerpią z niej zyski. To nie więzienia decydują, kto trafi za kraty, lecz policja, prokuratura,

sędziowie. Powody nadmiernego rozrostu naszego systemu penitencjarnego są złożone, toczy się wokół nich intensywna dyskusja, jednak niewielu badaczy zaprzeczy temu, że istotnym czynnikiem jest tu rasizm<sup>7</sup>. Przez znaczną część amerykańskich dziejów rasizm, pozbawienie wolności i żądza zysku były ze sobą nierozzerwalnie splecione. Niewolnictwo, znajdujące się u korzeni obróconego przeciwko czarnym rasizmu w Ameryce, było przedsięwzięciem obliczonym na zysk. Gdy z nim skończono, potężne grupy interesu z miejsca opracowały sposób dalszego czerpania zysków ze zniewolonych ciał Afroamerykanów i innych ubogich. Moje badania poprowadziły mnie za mury prywatnego więzienia, ale też do prac historycznych, starych gazet, zapomnianych pamiętników i obrastających kurzem w archiwach stanowych sprawozdań z zakładów karnych. Kiedy zagłębiałem się w tych materiałach, stało się jasne, że w całych dziejach USA nie było momentu, w którym firmy prywatne czy rząd nie próbowałyby zarabiać na pozbawianiu ludzi wolności. Próbowałem wpleść tę szerszą perspektywę dziejową w swoją relację naocznego świadka z nadzieją, że nalezycie przedstawię skalę i stawkę tego zjawiska, niewątpliwie stanowiącego katastrofę narodową.

Nie minęły dwa tygodnie, od kiedy wypełniłem internetowy formularz zgłoszeniowy, a już odezwały się do mnie prowadzone przez CCA więzienia w Oklahomie, Luizjanie i Kolorado, jak również ośrodek odosobnienia dla imigrantów w Arizonie. Gdy dzwonię do Ośrodka Poprawczego Winn w Winnfield, w stanie Luizjana, telefon odbiera dziarska kobieta, południowy zaśpiew w jej głosie jest jak snujący się dym.

*Z miejsca powinien panu powiedzieć, że stawka godzinowa to tylko dziewięć dolarów, ale więzienie jest w środku parku narodowego. Lubi pan polować, ryby łowić?*

*Wędkować lubię.*

*No to miejsc do wędkowania jest mnóstwo, a tutejsi lubią też polować na wiewiórki. Miał pan kiedyś okazję?*

*Nie.*

*No, ja myślę, że się panu w Luizjanie spodoba. Wiem, pensja słaba, ale mówią, że od SW [strażnika więziennego] do kierownika więzienia da się tu awansować w siedem lat! Sam prezes firmy zaczynał jako SW.*

Gdy parę dni później zaliczam oficjalną rozmowę kwalifikacyjną, zadają mi wiele pytań z tej samej sztancy co w innych więzieniach, aż tu nagle: „A jakie ma pan zdanie na temat obsługi klientów? I jak odnosiłoby się to do usług świadczonych osadzonym?” Improwizuję coś bez konkretów, że oczywiście klient ma zawsze rację, ale może jednak nie w więzieniu? *Cóż, widzę, jak tak patrzymy tu na siebie nawzajem, że już mogę panu powiedzieć, że naszym zdaniem będzie pan u nas świetnie pasował* – mówi mi rekruterka. Dodaje, że jeśli tylko przejdę weryfikację danych ujętych w zgłoszeniu, posada jest moja.

Omawiam hipotetyczne warianty z redaktorami naczelnymi z „Mother Jones”. Co robić, jeśli wyjdzie na jaw, kim jestem? Rozpracowujemy biurokrację, żeby moje ubezpieczenie pracownicze obejmowało także sprawy takie jak dźgnięcie szpadryną na służbie. Nasi prawnicy zgłębiają prawodawstwo stanowe Luizjany, żeby mieć pewność, że moje działania nie będą nielegalne. Redaktorzy nie wyznaczają mi żadnych konkretnych celów, mówią, że gdybym w którejkolwiek chwili, z jakiegokolwiek powodu, postanowił zakończyć ten projekt, mam się nie wahać i zrobić to natychmiast. Będę się posługiwał prawdziwym nazwiskiem. Nie muszę ujawniać niczego na swój temat, ale mam nigdy nie kłamać. Jeśli ktoś zapyta, czy jestem dziennikarzem – potwierdzę.

Roztrząsamy kwestie prawne i etyczne. Są tacy, dla których dziennikarstwo pod przykrywką to rzecz niedopuszczalna – wiele redakcji wymaga, by ich dziennikarze ujawniali, kim są, niezależnie od okoliczności. Mój projekt idealnie pasował jednak do reguł dziennikarstwa pod przykrywką sformułowanych w akademii dziennikarstwa Poynter: temat stanowił żywotywny interes społeczny; nie było innych sposobów uzyskania informacji; w publikacji miałem wyjawić naturę i przyczyny wszelkiego wprowadzania w błąd; redakcja macierzysta nie poskąpi czasu ani funduszy, bym mógł wyczerpująco zbadać temat; potencjalne szkody zaś, którym zapobiegłby mój reportaż, przeważały nad potencjalnymi szkodami, jakie mógłbym spowodować.

Jeśli nie zaznaczyłem inaczej, zmieniłem nazwiska ludzi poznanych w Winn, by chronić ich tożsamość. Dołożyłem starań, by cytować ich wypowiedzi dosłownie, jeśli to było możliwe. W całym tekście tej książki fragmenty kursywą zostały zarejestrowane przez urządzenia nagrywające lub pochodzą z dokumentów. Dialogi rozpoczynające się od myślnika pochodzą z moich notatek dotyczących chwil, kiedy nie mogłem posłużyć się innym sprzętem. Czasami dla większej płynności tekstu zmieniałem tok dialogów.

Takie dziennikarstwo dopiero całkiem niedawno stało się drażliwym tematem. W USA ma ono bogate dzieje. W roku 1859 dziennikarze z Północy udawali kupców niewolników na aukcji w Georgii, bo tylko w ten sposób mogli się na taką dostać. Ich relacje były pełne szczegółów nieznanymi większości mieszkańców ich stron: oglądanie ludzi niczym bydła, pokrętna duma każąca czasem niewolnikom domagać się wysokiej ceny, niewiarygodna rozpacz dzieci odrywanych od matek<sup>8</sup>. Nellie Bly zasłynęła tym, że w 1887 roku udawała obłąkaną, przez co została przymusowo skierowana na dziesięciodniowy pobyt w zakładzie psychiatrycznym

dla kobiet, które to doświadczenie opisała w „New York World” Josepha Pulitzerza<sup>9</sup>. Jej relacja sprawiła, że Nowy Jork zwiększył budżet Departamentu Dobroczynności Publicznej i zmienił przepisy tak, by do zakładów z większym prawdopodobieństwem trafiały tylko osoby poważnie chore umysłowo. W roku 1892 reporter z „San Francisco Examiner” W.H. Brommage zamustrował się jako marynarz, by wniknąć w środowisko parające się blackbirdingiem, czyli praktyką podstępnego wabienia tubylców z wysp Pacyfiku do nieopłacanej pracy na gwatemalskich plantacjach trzciny cukrowej przez kapitanów żaglowców<sup>10</sup>. John Howard Griffin w 1959 roku, po zażyciu medykamentu, który spowodował u niego pociemnienie skóry, przez sześć tygodni wędrował rubieżami Południa, badając segregację rasową<sup>11</sup>. W roku 1977 gazeta „Chicago Sun-Times” wykupiła bar, obsadziła go dziennikarzami i wyposażyła w ukryte kamery, by zbierać materiały o skrupupowanych inspektorach miejskich, gotowych przymknąć oczy na wszystko, byle zgarnąć pod stołem 20 dolarów<sup>12</sup>. Barbara Ehrenreich miała się nisko płatnych prac, jako kelnerka, kasjerka w Walmarcie, sprzątaczką, by zwrócić uwagę społeczeństwa na bolączki ludzi mimo zatrudnienia tkwiących w ubóstwie<sup>13</sup>. Ted Conover zaś, którego książka stanowiła jedną z inspiracji dla mojego projektu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych przepracował rok jako klawisz w więzieniu Sing Sing w stanie Nowy Jork<sup>14</sup>.

Czemu tego typu śledztwa dziennikarskie stanowią obecnie taką rzadkość? Istotnym powodem są tu pozwy. Jak pisze redaktorka naczelna „Mother Jones” Clara Jeffery:

Gdy ABC News w roku 1992 nakryło firmę Food Lion na przepakowywaniu zepsutego mięsa do ponownej sprzedaży, ława przysięgłych łyknęła wersję spółki, że prawdziwym przestępstwem było podanie przez dziennikarzy fałszywych danych przy



ubieganiu się o pracę oraz niewypełnianie przez nich obowiązków służbowych – tj. przepakowywania zepsutego mięsa! Odszkodowanie w wysokości pięciu i pół miliona dolarów udało się w końcu zbić do dwóch dolarów, ale całemu pokoleniu skutecznie odechciało się tego typu szperania, a byty korporacyjne i urzędowe wykorzystały ten czas, by tworzyć coraz szczelniejszą sieć ochrony prawnej. Umowy o poufności – niegdyś dotyczące głównie ludzi pracujących przy premierach nowych produktów Apple’a czy wideoklipach Beyoncé – wyłażą obecnie przy wszelkiej maści posadach, występując obok rozmaitych innych klauzul o „nieszarganiu wizerunku” czy „regulaminów ochrony pracodawcy”. Na którymś etapie słuszna troska pracodawców o ochronę ciężko wywalczonych tajemnic branżowych przeobraziła się w uniwersalne narzędzie do odcinania ogłędu społecznego – nawet jeśli dotyczy to organizacji potężniejszych niż agencje rządowe.<sup>15</sup>

Dostaję kilka ofert pracy z więzień CCA. Ostatecznie wybieram Winn. Nie tylko dlatego, że w Luizjanie odsetek więźniów w populacji ogółem jest najwyższy na świecie – jakieś pięć razy wyższy niż w Chinach – ale też dlatego, że Winn jest najstarszym obsługiwany przez firmę prywatną więzieniem średniego poziomu zabezpieczeń w całym kraju.

Dzwonię do kierowniczkii haeru w Winn i mówię jej, że biorę tę posadę.

*No, wszyscy do kupy, kupy nikt nie ruszy!* – odpowiada.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zaliczam sprawdzenie życiorysu.

Dwa tygodnie po przyjęciu oferty z Winn, wyhodowawszy sobie kocią bródkę i usunąwszy tuleje z uszu, zajeżdżam specjalnie kupionym sponiewieranym pikapem dodge ram do Winnfield, miasteczka liczącego około czterech tysięcy sześciuset mieszkańców, trzy godziny jazdy na północ od Baton Rouge. Gdyby zdarzyło się wam tamtędy przejeżdżać, to jedna z tych miejscowości, które zapadają w pamięć, tylko jeśli uderzy was jakiś szczególny widok: ulica walących się drewnianych domów, bez śladu życia poza jednym psem na łańcuchu i chudą białą kobietą niosącą na biodrze kosz z praniem; niegdysiejsza restauracja meksykańska, gdzie teraz wracającym z trasy kierowcom serwują koktajle rumowe w styropianowych kubkach; stos egzemplarzy lokalnej gazety z nagłówkiem o generale armii konfederackiej; czarna pani zbierająca drobniaki z chodnika koło stacji benzynowej. Około trzydziestu ośmiu procent tutejszych gospodarstw domowych plasuje się poniżej ustawowej granicy ubóstwa – mediana dochodu rocznego na gospodarstwo domowe wynosi 25 tysięcy dolarów<sup>1</sup>. Mieszkańcy Winnfield chlubią się tym, że przed 1940 rokiem z miasteczka wywodziło się trzech gubernatorów stanowych, w tym wiejski populistą Huey Long. Mniejszym powodem do dumy jest to, że ostatniego szeryfa zamknięto za dylowanie metamfetaminą<sup>2</sup>.

Ośrodek Poprawczy Winn leży jakieś dwadzieścia kilometrów za miastem, głęboko wewnątrz Parku Narodowego Kisatchie, pociętej gruntówkami połąci niemal 250 tysięcy hektarów zarośniętych sosną długoigielną. Kiedy jadę przez ten gęsty las 1 grudnia 2014 roku, z mgły wyłania się więzienie – nijaki kompleks pozabawionych wyrazu betonowych budynków i szop z blachy faliastej. Gdyby nie wyraźne obrandowanie, można by przez pomyłkę wziąć Winn za ekscentrycznie ułożoną fabrykę. Na poboczu stoi duży znak, z tych, jakie widuje się przy podmiejskich biurach, prezentujący logo korporacji CCA, z poprzeczką w „A” wystylizowaną w dynamiczną głowę bielika amerykańskiego.

Przy bramie wejściowej strażniczka z bronią przy pasie, z wyglądu może sześćdziesięciolatka, każe mi wyłączyć silnik pikapa, otworzyć wszystkie drzwi i wysiąść. Wysoki biały mężczyzna ze srogą miną wpuszcza do szoferki owczarka niemieckiego. Serce łomocze mi w piersi. Na siedzeniu mam rozłożony sprzęt fotograficzny. Mówię strażniczce, że jestem nowym kandydatem do pracy, że przyjechałem na czterotygodniowe szkolenie. Pokazuje mi budynek zaraz za ogrodzeniem więzienia.

*Baw się dobrze, synek* – mówi mi, kiedy przejeżdżam przez bramę. Wreszcie robię wydech.

Parkuję i siedzę w pikapie. Strażniczka za kierownicą samochodu nieopodal sprawdza makijaż w lusterku osłony przeciwsłonecznej. W czterodrzwiowym sedanie znajduje się cała rodzinka, pewnie czekają na odwiedzinę u kogoś bliskiego, leniwie wystawili nogi za otwarte drzwi. Przede mną wznoszą się dwa wysokie płoty z siatki otaczające całe więzienie, zwieńczone spiralami drutu kolczastego. Po rozdzielającej je szerokiej, pustej nawierzchni ospale spaceruje kot. Zza budynków wystaje metaliczny szpic kościelnej wieży. Cały kompleks otoczony jest sosnowym lasem, gęstym i wysokim.

Wysiadam z samochodu i idę przez parking, w myślach zafiksowany na wieżyczkach strażniczych – przypuszczam, że obserwują mnie stamtąd klawisze. Kierowniczka haeru w Winn powiedziała mi tydzień wcześniej, że dzwonił do niej Lane Blair, jeden z dyrektorów zarządzających korporacji, i pytał o mnie. Jak twierdziła, bardzo rzadko zdarzało się, żeby jakiś indywidualny kandydat wzbudził zainteresowanie na szczeblu zarządu. Byłem więc już pewien, że na najwyższych szczeblach w firmie wiedzą, kim jestem. Kiedy wchodzę do sali zajęciowej, nikogo tam nie ma. Im dłużej siedzę sam, tym większą mam pewność, że to pułapka. Co się stanie, kiedy po mnie przyjdą?

Pojawia się kolejny kandydat, siada obok mnie i przedstawia się. To dziesięcioletni, czarnoskóry, ledwo co ukończył liceum. Nazywa się Reynolds.

*Nerwy są?* – pyta.

*No, troszkę* – odpowiadam. – *A jak ty?*

*E tam, nie takie rzeczy widziałem* – mówi. – *Zabijanie widziałem. Wujek zabił trzech ludzi. Bracki był w więzieniu i brat cioteczny. Zero stresu.* – Roboty, mówi, potrzebuje tylko na krótko, za parę miesięcy zaczyna studia. Ma dziecko do wykarmienia. No i chciałby w nowym pikapie zamontować głośniki. Powiedzieli mu, że może też pracować w dni, kiedy nie ma służby, więc pewnie będzie podbijać kartę dzień w dzień. – *Wpadnie gruby hajs* – kończy. Opuszcza głowę na ręce i zasypia.

Powoli schodzi się jeszcze czworo kandydatów, a po nich kierowniczka haeru. Objeżdża Reynoldsa za drzemkę, ale chłopakowi zaraz poprawia się humor, bo słyszymy, że jeśli ktoś zwerbuj kolegę do pracy w Winn, dostanie 500 dolarów. Kierowniczka rzuca nam losową porcję innych wskazówek: nie jeść żywności wydawanej osadzonym; nie uprawiać seksu z osadzonymi, bo to grozi dziesięcioma tysiącami dolarów grzywny, a nawet skazaniem na

„dziesięć lat ciężkich robót”; lepiej nie chorować, bo chorobowego nie płacą. Jeśli mamy tu w więzieniu przyjaciół czy krewnych, należy to zgłosić. Kierowniczką rozdaje magnesiki na lodówki z numerem gorącej linii, pod który należy zadzwonić, gdyby naszły nas myśli samobójcze czy zaczęlibyśmy wojować z rodziną. Trzy sesje z terapeutą gratis.

Starannie robię notatki, kiedy kierowniczką haeru odpala wideo z prezesem firmy, który tonem korporacyjnego marketin-gowca opowiada nam, jaką to wspaniałą szansę daje bycie strażnikiem więziennym w CCA. Jest naszą gwiazdą przewodnią, przykładem człowieka, który przeszedł wszystkie szczeble kariery aż na szczyt (jego roczna pensja za rok 2018 wynosi cztery miliony dolarów, dwadzieścia razy tyle, ile zarabia dyrektor Federalnego Urzędu Więziennictwa<sup>3</sup>). *Może w CCA jesteście całkiem nowi, ale potrzebujemy was – mówi. – Potrzebujemy waszego entuzjazmu. Potrzebujemy waszych świetnych pomysłów. Podczas szkolenia czułem ducha wspólnoty. Czułem też lekki niepokój. To zupełnie normalne. Czułem też jeszcze jedno: niesamowitą ekscytację.*

Rozglądam się po sali. Nikt – ani ten maturzysta, ani były kierownik Walmartu, ani pielęgniarzka, ani samotna matka, która wróciła tu po jedenastu latach w McDonaldach i kontrakcie w wojsku – nie zdradza choćby cienia podekscytowania.

*To chyba nie dla mnie – mówi pocztowiec.*

Gdy kończy się film, na przód sali wychodzi czarna kobieta po trzydziestce, o długich rękach i idealnie wymanikiurowanych paznokciach. Mówi nam, że jest kierowniczką szkoleń. Nazywa się pani Blanchard. Pyta: czy wiemy, kto taki przemawiał na nagraniu?

*Prezes – odpowiadam.*

*A jak się nazywa? – dopytuje.*

*Nie wiem.*

Patrzy na mnie jak na ucznia podstawówki, który nie uważał na lekcji. *Wszyscy będziecie musieli to wiedzieć na teście na koniec zajęć.*

Reynolds podrywa głowę. *To będzie test?*

*Nazywa się Damon Hininger – ciągnie Blanchard. – Do tego mamy trzech założycieli firmy. Są Thomas Beasley i T. Don Hutto. Oni wciąż są z nami. No i doktor Crants.* – Wkłada kolejną kasetę wideo.

Na filmie Hutto i Beasley opowiadają o początkach firmy<sup>4</sup>. Jak wspominają, w roku 1983 wygrali „pierwszy przetarg na świecie na zaprojektowanie, budowę, sfinansowanie i obsługę strzeżonej placówki poprawczej”. Służba Imigracji i Naturalizacji dała im na to zaledwie dziewięćdziesiąt dni. Hutto jest wątyły, ma lśniąca białą brodę i przyduże okulary, złożył ręce przed sobą i uśmiecha się leciutko. Gdy mówi, robi wrażenie rumianego dziadunia, który uwielbia powtarzać przy dzieciach sztuczkę „o, kciuk mi zniknął”. Historię zawarcia pierwszej umowy na prowadzenie więzienia opowiada niczym emeryt, akcja za akcją relacjonujący, jak to w liceum udało mu się dokonać zwycięskiego przyłożenia. Pod presją czasu wynajął wówczas z Beasleyem motel w Houston, przekonując właściciela do tej transakcji tym, że w końcu zatrudnili tam „całą jego rodzinę” jako personel. Potem szybko otoczyli motel czterometrowej wysokości płótem ze zwojami drutu kolczastego na szczycie. Zostawili nawet znak: „Mamy korzystne stawki dobowe”. „Placówkę otworzyliśmy pod koniec stycznia tamtego roku, w niedzielę, akurat w dzień meczu Super Bowl – wspomina Hutto. – Osadzonych zaczęliśmy przyjmować jakoś o dziesiątej wieczorem tego dnia. Ja sam autentycznie robiłem im zdjęcia i pobierałem odciski palców. Kilku innych ludzi odprowadzało ich do «pokojów», że tak powiem, i za pierwszy dzień zapłacili nam za osiemdziesięciu

siedmiu cudzoziemców bez dokumentów”. Obaj śmieją się przez chwilę.

Dla Beasleya koncept prowadzenia więzienia jako przynoszącego zyski przedsiębiorstwa był ideą nową i innowacyjną. Jak miałem jednak odkryć, dla Hutta pomysł zarabiania na więźniach był tak stary jak zmuszanie czarnych do zbierania bawełny.

Biały mężczyzna na koniu, z karabinem w dłoni, obserwował porośniętą bawełną połąć ciągnącą się aż po horyzont. Na miedzy leżały cztery sfory ogarów. Jeden z psów miał na zębach dwie złote koronki, wyróżnienie za wytropienie zbiega i doprowadzenie go z powrotem na plantację. Czarni mężczyźni stali rzędami w grupach, przygarbieni nad krzewami bawełny<sup>1</sup>. Strażnik nie słyszał, co tam śpiewali, ale znał już te piosenki. Czasami, gdy pracowali, jeden wznosił zaśpiew: „O panie stary, nie bij mnie, dam panu pół dolara”, a cała grupa odpowiadała mu chórem: „Johnny, gdzie się szlajasz, Johnny, gdzie się szlajasz”.

W salonie siedzi stary pan, a przy nim pani stara  
*Johnny, gdzie się szlajasz, Johnny, gdzie się szlajasz*  
 I obmyślają sobie plan, jak z ludzi wycisnąć więcej pary  
*Johnny, gdzie się szlajasz, Johnny, gdzie się szlajasz*  
 Więc siedzą i do pani odzywa się pan stary  
*Johnny, gdzie się szlajasz, Johnny, gdzie się szlajasz*  
 Pan stary mówi pani: „Weź te jego pół dolara”  
*Johnny, gdzie się szlajasz, Johnny, gdzie się szlajasz*  
 „Na co mnie jego grosze, niech się drze, kiedy go karać”  
*Johnny, gdzie się szlajasz, Johnny, gdzie się szlajasz*<sup>2</sup>



Dla jednego z nich, Alberta Race'a Sample'a, było to pierwsze zbieranie bawełny. W życiu zdarzało mu się robić za pucybuta, cyrkowca, grać w kości, sprzątać po prostytutkach w burdelowych pokojach, ale nigdy dotąd nie pracował w polu. Z bawełną łączyło go tylko tyle, że jego biały ojciec, który kiedyś płacił za seks czarnej matce Sample'a, utrzymywał się z pośrednictwa w handlu tym surowcem. Sample trzymał się swojego rzędu i reszty ekipy – zbieracze zrywali kolejne torebki i wrzucali je do wleczonych za sobą czterometrowych worów. Biali „bossowie” wyznaczali na czoło każdego rzędu najszybszych zbieraczy, przez co wszyscy pozostali musieli ostro pracować, żeby nie odstawać. Nim Sample obrał z bawełny dwa krzaki, reszta rzędu odsadziła go już o sześć metrów. Jeden z bossów, znany jako Snajper, podjechał na koniu w pobliże Sample'a i śledził każdy jego ruch.

Sample wychowywał się w burdelu, przy mamie. Jako dzieciak serwował szmuglowany alkohol facetom, którzy uprawiali tam hazard, a czasami i seks na jego posłaniu. Na podłodze ćwiczył techniki rzutu kośćmi, ucząc się, jak ułożyć je sobie w dłoni i jak turlać, żeby wypadło dokładnie to, czego sobie życzył. Mama też lubiła sobie zagrać. Raz, w środku gry, poleciła mu, żeby przyniósł rolkę pięciocentówek. Gdy przyznał się, że zgubił monety, spoliczkowała go tak, że wyleciał mu ząb, i znów wróciła do gry. Sample wskoczył do opuszczającego miasto pociągu i od tej pory żył na sardyńkach z puszkki, jedzeniu kradzionym z restauracji i tym, co łowił po kieszeniach ludzi na torach wyścigowych.

Zbieranie bawełny, jak doliniarstwo, to umiejętność, której opanowanie wymaga czasu. Złap za dużo, a pokłujesz sobie palce o suchą nasadę torebki. Złap za mało, to wyrwiesz tylko parę nitek<sup>3</sup>. Im szybciej Sample starał się zbierać, tym więcej upuszczał. Im więcej upuszczał, tym więcej czasu marnował na próby

oczyszczania bawełny z piachu, liści i badyli przed wrzuceniem jej do worka.

– Ej, czarnuchu, lepiej weź się do futrowania tego wora i rusz te obesrane giry, żeby przynajmniej wyglądało, że coś robisz! – wydarł się na niego Snajper.

Sample'a bolał już grzbiet.

W końcu bossowie polecieli więźniom przynieść worki do wagi. Sześć ekipy nazrywał prawie sto pięć kilo. Jeden z pozostałych miał tylko osiemdziesiąt pięć kilo – Snajper zaczął się na niego drzeć. Gdy Sample położył na szali swój worek, kapitan Gładki, jeden z bossów, łypnął na niego, jak gdyby Sample napluł mu w twarz.

– Osiemnaście kilo! – wrzasnął. – Wierzyć się nie chce! Osiemnaście kilo bawełny, kurwa mać!

Snajper miał nagle szal w oczach.

– Panie kapitanie, aż normalnie odżaluję pensję za cały miesiąc, pan tylko popatrz w inną stronę, żebym mógł tego sukinkota, darmozjada rozwalić.

Trzęsącymi się dłońmi wymierzył dwururkę w Sample'a i odwiódł kurki. Ci, którzy wciąż czekali na ważenie zbiorów, rozpierchli się na boki.

– Chłopie, daj spokój – odezwał się Gładki. – Jak Boga kocham, na tego drania to chyba nawet szkoda porządnych loftek. No i w ogóle, jeszcze byś mi gównem tego czarnucha buty ochlapał i całe pucowanie na darmo.

Boss Snajper opuścił lufę.

– Ej, czarnuch, skąd jesteś? Pewnie jesteś z tych miastowych czarnuchów, prędszych do złodziejowania niż do roboty! No to gadaj, skąd jesteś. – Gdy Sample próbował odpowiedzieć, Snajper znów na niego wrzasnął. – Zamknij ten jebany ryj, dziadu, jak do ciebie mówię!

Za bezczelność i brak wydajności Sample otrzymał karę: nie mógł zjeść obiadu ani nawet napić się wody do końca dniówki.

– Tak jest, czarnuchu, rusz dupę tam na pole, bo capem śmierdzi, i weź się do zbierania tej sakramenckiej bawełny!

Był to rok 1956, od zniesienia niewolnictwa minęło już niemal całe stulecie. Sample, uznany za winnego kradzieży rozbójniczej, został skazany na trzydzieści lat więzienia<sup>4</sup>. W Teksasie wszyscy czarni skazańcy, jak też niektórzy biali, pracowali przymusowo na plantacjach, bez wynagrodzenia, przeważnie na polach bawełny. Od momentu osadzenia Sample'a aż po lata sześćdziesiąte sprzedaż plonów z plantacji więziennych przynosiła stanowi średni dochód w wysokości 1,7 miliona dolarów rocznie (równowartość 13 milionów w roku 2018)<sup>5</sup>. W całym kraju dzień pobytu osadzonego w więzieniu kosztował stan trzy i pół dolara. W Teksasie – tylko półtora dolara<sup>6</sup>.

Taksamo jak na całym Południu, system penitencjarny Teksasu wyrósł prosto z niewolnictwa. Po wojnie secesyjnej gospodarka stanu była pogrążona w chaosie, plantatorzy bawełny i trzciny cukrowej nagle postradali ręce, które można było przymusić do pracy. Szczęśliwym dla nich trafem w trzynastej poprawce do Konstytucji, znoszącej niewolnictwo w USA, znajdowała się luka. Zapisano tam, że „ani niewolnictwo, ani niewolna służebność” nie będą już w Stanach dopuszczalne „poza karami za przestępstwa”. Dopóki czarnych skazywano za przestępstwa, dopóty Teksas mógł wynajmować wszystkich więźniów prywatnym plantatorom bawełny i trzciny cukrowej, firmom prowadzącym wycinkę lasów, kopalniom węgla czy na budowę kolei<sup>7</sup>. Działo się tak przez pięć dekad po zniesieniu niewolnictwa, aż w końcu stan pozazdrościł dochodów czerpanych z pracy więźniów przez prywatne firmy i plantatorów. Teksas zakupił więc trzynaście plantacji na własność<sup>8</sup>. Od roku 1913 zaczęto prowadzić je jako zakłady karne<sup>9</sup>.

Praca przymusowa była niewątpliwie wydajna. Niewolny, pracujący na polu bawełny przed wojną secesyjną, zrywał przez godzinę około 75 procent więcej bawełny niż wolny rolnik<sup>10</sup>. Podobnie teksańskie farmy więzienne aż do lat sześćdziesiątych przynosiły wyższe plony niż okoliczne gospodarstwa, na których pracowali wolni robotnicy<sup>11</sup>. Działo się tak z prostego powodu: ludzie pod groźbą tortur pracują ciężiej. Teksas dopuszczał w więzieniach chłostę aż do roku 1941<sup>12</sup>. W innych stanach zakazano jej jeszcze później. W więzieniach w Arkansas używano batów nawet w roku 1967<sup>13</sup>. Jednak i bez biczowania w więzieniach wynajdywano różne metody zmuszania osadzonych do wydajniejszej pracy. Rankiem po pierwszym dniu spędzonym przez Sample'a na zbieraniu bawełny (był to rok 1956) strażnicy zamknęli go wraz z ośmioma innymi mężczyznami w komorze ze stali i z betonu, metr dwadzieścia na dwa czterdzieści – była to kara za niewyrobienie normy. W tym pomieszczeniu, zwanym „szczalnią”, nie było światła ani wody. Za toaletę służyła dziura pośrodku podłogi, wielkości półdolarówki. Dyszący mężczyźni wysysali resztki tlenu ze smrodliwego powietrza. „Wiliśmy się tam, całą dzieńką szukaliśmy sobie miejsca, jak larwy w szambie” – wspominał Sample w swojej książce. Gdy ktoś zanadto się rozpychał, mogło dojść do bójki. Spędzili w szczalni całą noc, każdy czekał na swoją kolej, żeby położyć się na podłodze, kiedy inni stali czy kucali. Rano wyprowadzono ich od razu na pole bawełny.

Przez cały sezon zbiorów Sample co i raz trafiał z pola do szczalni i z powrotem. Kiedy jego worki bawełny zaczęły wreszcie ważyć ponad czterdzieści pięć kilo, karę zmieniono na inną – kajdanki. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, strażnik kazał Sample'owi położyć się na podłodze. Założył kajdanki na prawy nadgarstek więźnia, docisnął, ile się dało, po czym na nie nadepnął, by zatrzasnęły się ciasniej. Następnie przełożył łańcuch przez kratę

nad głową Sample'a i zapiął kajdanki na jego lewym nadgarstku, zostawiając go wyprężonego tak, że palcami stóp ledwie dotykał ziemi. Obok wisieli inni – po mniej więcej godzinie niektórzy zaczęli już pojękiwać. W ramionach Sample'a pulsował ból, ale on przygryzał wargi, żeby nie krzyczeć. Więźniowie idący na posiłek mijali rozciągniętych towarzyszy niedoli, każdy jednak odwracał wzrok od torturowanych. W końcu przygaszono światła, zaczęły powoli upływać minuty nocy. Koło szóstej godziny tej udręki jeden ze zwisających mężczyzn zaczął się szarpać gwałtownie i wić, aż w końcu obrócił się twarzą do krat. Zaparł się o nie stopami, usiłując w ten sposób oswobodzić się z kajdanek. Gdy to nie działało, wgryzł się w nadgarstki, szarpiąc je niczym zwierzę złapano w potrzask. Inny więzień przywołał strażnika, który polewał desperata wodą, póki ten się nie uspokoił. Rano rozkuto ich i znów zaprowadzono do roboty.

Mijały kolejne dni zbiorów, a Sample coraz bardziej tracił na wadze. Bossowie regularnie odmawiali mu posiłków, karząc za niedostatecznie wydajne zbieranie. Jednak po parunastu kolejnych wizytach w szczalni i kilku dodatkowych nocach w kajdankach zdecydowanie nabrał wprawy w oskubywaniu krzaków. Jak powiedział mu jeden ze strażników, „to ssanie od przepuszczonych posiłków” fenomenalnie wpływało na zwiększenie szybkości zbierania bawełny przez więźniów.

W takim właśnie świecie Terrell Don Hutto, jeden ze współzałożycieli CCA, nauczył się kierowania więzieniem. W roku 1967 został naczelnikiem plantacji Ramsey niedaleko miejsca, w którym więziony był Sample. Nim przeszedł do kierowania plantacją więzienną, był pastorem, studiował historię, odsłużył dwa lata w amerykańskim wojsku i zrobił magisterkę z pedagogiki na Uniwersytecie Amerykańskim w Waszyngtonie<sup>14</sup>. Plantacja

Ramsey nie różniła się zbyt wiele od tej, na której odbywał swój wyrok Sample. Jeśli nie liczyć zakazu chłosty, sposoby karania i metody pracy w chwili, gdy Hutto rozpoczynał tam pracę, nie zmieniły się od czasu uruchomienia stanowych farm więziennych w roku 1913. Plantacja zarządzana przez Hutto różniła się od miejsca osadzenia Sample'a głównie rozmiarami: Ramsey powierzchnią dorównywała Manhattanowi, była dwa razy większa od plantacji, na której odbywał wyrok Sample, na polach pracowało tu 15 tysięcy więźniów<sup>15</sup>. Na plantacji Ramsey Hutto nauczył się postrzegać więzienie jako instytucję dochodową. Zawsze dawało się przyciąć koszty, żeby bilans wypadł korzystnie. Podobnie jak właściciele niewolników dobierali sobie niektórych, by kierowali i wymierzali kary pozostałemu żywemu inwentarzowi, Hutto przyswoił sobie stosowaną w Teksasie praktykę wyznaczania więźniów, którzy kierowaliby innymi i wymierzali kary<sup>16</sup>. Tacy wybrańcy sprawowali na więziennych korytarzach rządu silnej ręki, czasem używając nawet noży, by poskromić towarzyszy niedoli. Wykorzystując ich, Hutto mógł szukać oszczędności na pensjach dla strażników.

Hutto i jego rodzina zamieszkali w domu na plantacji w roku 1967. Beatlesi mieli nowy przebój, *All You Need Is Love* – Hutto wie mogli słuchać go w salonie, podczas gdy „domowy” gotował posiłki i podawał je na stół. Domowymi byli więźniowie, niemal wyłącznie czarni: ścielili łóżka, sprząтали, niańczyli dzieci<sup>17</sup>. Pracownicy teksańskiego Departamentu Penitencjarnego uważali przydzielanie więźniarskiej pomocy domowej za nieodzowny przywilej tej pracy, gwarantujący, że garnęli się do niej „tacy ludzie, którzy potrafiliby ją wykonywać”<sup>18</sup>.

Przepisy dotyczące domowych były echem lęków właścicieli niewolników przed tymi, którym powierzali pracę w swoich domostwach. Procedury nie pozwalały pani Hutto rozmawiać

z domowymi ani nadmiernie się z nimi „spoufalać”. Domowym nie wolno było prac jej bielizny<sup>19</sup>. Zakazane było dowcipkowanie z domowymi, jak również dopuszczanie, by siadali wraz z rodziną do słuchania radia czy oglądania telewizji, w obawie, że z czasem doprowadziłoby to do bezczelności. Hutto miał rządzić tą, a potem kolejnymi plantacjami przez dziesięć lat, wyróżniając się przy tym wyciskaniem z niektórych większych dochodów niż te osiągnęte przez poprzednich naczelników. Kilka lat później, rozstawszy się z plantacjami, miał rozpocząć kolejny rozdział historii, która sięga aż do zarania dziejów tego kraju, gdzie biali ludzie wiecznie wymyślają kolejne sposoby zarabiania na tych trzymanych w niewoli. Założył CCA.